

# A jednak Batucki

Kiedy u nas upojenie wycieczkowe lub imienninowe osiągnie swój szczyt, rodacy śpiewają rzeźbionym chórem: Górato, czy ci nie żal... a żaden z nich nie zapyta kto zaczął napisać te tęskne zwrotki. Otóż napisał je nikt inny jak Batucki, poeta autor licznych powieści i komedii, który w roku 1901 zastrzeżił się dramatycznie w parku Jordana. Skądże to samobójstwo niemłodego już pisarza? Toć jego komedie były ostoją repertuaru pod koniec ubiegłego wieku, gdy po Frędryze przyszła kolej na komedie politywistyczną, mieszczańską. Ale Batucki hodował znacznie górniejszą ambicję artystyczną, którym jednak nie sprostał. To trągliczne nieporozumienie pogłębiła specyficzna atmosfera Młodej Polski i lekceważąca krytyka, która pogardliwie osądziła blachę „sztuczki” Batuckiego, za to, że nie śległa tajemniczych głębi „nadziej duszy”. Tymczasem komedie te przetrwały do dziś, a coż się ostało z teatru proroka młodopolszczyzny — Przybyszewskiego, z chmurnej twórczości scenicznej Tetmajera, czy wreszcie Rydla? Dlatego dziś historycy literatury rehabilitują Batuckiego, sondując w nim duże zasoby teatralności i koincidenzmu, bo i „najgłośniej z naszych komediopisarzy śmiał się Batucki”. W naszym, ponurackim kraju zasługa to niemała.

Z kilku najcenniejszych komedii Batuckiego — Klub kawalerów \*) najwiśnięcej ma cech żywej kłopotliwości o zabawnych sytuacjach i wybornych typach, oraz pogodnej satyry ośmieszającej bez bólu słabostki mieszczańskiego światka galicyjskiego. Klub kawalerów to odwrócone Śluby panięńskie, bowiem osią akcji jest sprzysiężenie starych i młodych kawalerów przeciwko okowom małżeńskim. To zarazem satyra na próżność i pozę męczyzna, kulminująca w apoteozie małżeństwa i kobiecości. Gdyż bohaterką komedii jest czarująca a sprytna rozwódka, która zalotnością i przebiegłością misternie kruszy miły kawałeczek kawalerskiej twierdzy, by wziąć w niewolę najgroźniejszego przeciwnika jakim jest jej własny mąż! Jakże aktualna jest dziś ta antyrodzodowa a matrymonialna propaganda! Mimo że świat męski wychodzi z niej pokłany a niewolnicy trumfują (na scenie), jednak sądzę, że wiele ludzi (na widowni) serdecznie się ubawia, — przy jakiej takiej bezstronności.

Galéria sprzysiężonych kawalerów, kolejno obłaskawianych i tywalizujących ze sobą o względy Ochotnickiej daje pole do serii komicznych nieporozumień i karykaturalnych typów. Jest nadto w tej komedii echo fredrowskiego „magnetyzmu” miłosnego, jakby odżyli Klara i Albin ze Ślubów panięńskich. On zdurowiony bez pomieci i bezładny jak cieślę, ona przekornie zatrzekająca się miłości, aż ktoś rozsądny skojarzy przemocą naiwnych kochanków. Oczywiście — Ochotnicka.

Zagrano Klub kawalerów znowo i miło jako umuzyeshiony i rozładczony wodewil z nowymi piosenkami. Reżyseria ożywiła przedstawienie propozycją, by nie brać zbyt serio staroświeckiej faktury komedii a odczuć jej urok. Stąd szereg doo-

świeku żartobliwej parodii. W tej samej konwencji utrzymano doskonałą oprawę sceniczną i kostiumową, która w mieszczańskim stylu ubiegłego wieku odkryła tyle wdzięku ile śmieszności.

Atrakcją zespołu stał się A. Kozak, który sztubakiem wdziałek fikcyjka Motylińskiego nasycił komieczną frenetką i taneczną brawurą oraz na pół marionetkową suchliwością. Dórowanywał mu F. Solbowski w roli śmiesznie kochliwego i wstydliwego Nieśmiatowskiego, rozkwitającego w toku zalotów aż do żywiołowego wybuchu tempéramentu i wręcz dionizyjskiego opętania. Również zdabawnie grano pozostałe role wrogów i kandydatów stanu małżeńskiego. A. Gazdeczka okazał może zbyt mało wdzięku w niewdzięcznej zresztą roli postponowanego amanta, lepszy był w sytuacjach komicznych. R. Filipski przerysował choleryczność sibego Piorunowicza zwłaszcza gestyką własnęgo chowu, nie przystającą do eleganta w burducie i tyliniarze fin de siècle'a.

I Wicińska jako reżolutna Ochotnicka rozwinęła pełną skalę zalotności uwodzicielki po swojemu uczciwej, bo zmierzającej wreszcie do jedynego celu: obrony węzła małżeńskiego. Z Kalińska z wdziękiem zarząta perfidie i miłą kłeskę zgrymaszonej Maryni. K. Lutówna, dysponując żywiołową siłą komiczną i charakterystyczną, grała wszędobylską swatkę Dziudziulińską z humorem, ale zapewne ze zbyt czynnym akcentem herod-baby i dragona w spódnicy. Mimo tych zastrzeżeń, przedstawienie było wyróżniane, rażne i smaczne a publiczność bawiła się wybornie.

Płynie stąd spostrzeżenie bynajmniej nie nowe: dajcie się wyżyć naszym aktorom w komedii a zobaczycie! I aktorzy, i widzowie wolą się śmiać niż czy ronić. Zwłaszcza fałszywe.

\*) Teatr Rozmałości: M. Batuckiego — Klub kawalerów, komedia z piosenkami W. Zechentera, umuzyeshiona przez M. Niwelta. Reżyseria M. Billizanki, scenografia Boni Marczyńskiej, choreografia M. Kopskiego.